**Laudacja dla Małgorzaty Lebdy na wypadek, gdyby miała wygrać**

*Matecznik* jest, jak każda, książką losu jednego. Lecz ten los, wpisany w istnienia i losy pokrewne, tuż za ścianą lasu i pierwszego wiersza, na naszych oczach i poza nimi, gdzieś w głębi, we wszystkim, czym jesteśmy, staje się książką losu i życia wszystkich, którzy czytają. Nas samych, których ta poezja przejmuje jak przejmuje się coś od kogoś w poczuciu prawa – bo to coś, co jest tak czyjeś, nagle bardzo wydaje się własne.

„wilgoć drąży modrzewiowe belki werandy / przez okno zimnego pokoju obserwuję ojca…” To pierwsze dwa wersy zbioru Małgorzaty Lebdy. Mamy w nich całą zasadę istnienia, fundamenty i warunki, na których ta, która mówi w tym wierszu, sama poetka, została powołana do życia. Jest więc w tych linijkach przeczucie powolnego, lecz nieuchronnego rozpadu domu i jego pewności, jest życiowa niewygoda, oddalenie od ojca, który robi swoje i nie zwraca uwagi do chwili gdy „przywołuje”, „podaje scyzoryk / i każe wyjąć sobie z nadgarstka czarną drzazgę”. Podstawia rękę i mówi do córki, jak mistrz życia, lecz również nauczyciel poezji: „*musisz nauczyć się pracować we krwi*”. I jest na przestrzeni jedenastu wersów pierwszego wiersza *Matecznika*, pomiędzy wilgocią, chłodem, obserwacją ojca a jego prośbą o pomoc i lekcją, jakiej udziela, jeszcze widok wsi, w której to wszystko się dzieje: nieszczęścia osady, dachów zerwanych przez halny, starych grusz położonych przez wiatr, połamanych słupów „wysokiego napięcia”. I nie tylko to, bo jest jeszcze w tym obrazie siebie samej w pejzażu domu i rodzinnego świata, recepta na rany – „pszczeli kit na alkoholu”. I piętno losu tych, co żyją wokół: „żółte cierpkie dłonie”. Tak to się wszystko zaczyna, cały ten *Matecznik*, ta książka. A kończy się porządkowaniem papierów po śmierci. Uspokojeniem – „dopiero” – na „myśl o ulubionym scyzoryku ojca / który /pisze poetka/ włożyłam do trumny na chwilę przed”.

Swój świat odtwarza Małgorzata Lebda z elementów najprostszych, najbliższych. Najbardziej codziennych, jak ten scyzoryk, którym ojciec otwiera córce świat odpowiedzialności i troski, i którym po krótkim czasie córka żegna ojca na zawsze, dłońmi tak podobnymi do jego: żółtymi i cierpkimi - od pszczelego kitu na rany. Ten gest, ten scyzoryk, porozumienie przez przedmiot przerzucone ponad życiem i śmiercią, odsłania naturę czynności i zadań, które łatwo czytać jako rytuał. A przecież chodzenie po polach, trzymanie krzyżyków, wyciąganie kleszczy, wyparzanie butelek po wódce – każde działanie jest tutaj misterium tylko w tym znaczeniu, że jest wypełnione pożegnalnym uczuciem. Samo w sobie, w powtarzalności, jest powszedniością, nie - uroczystością. Byciem w lesie, w gospodarstwie, wśród swoich.

Mawia się o *Mateczniku –*bo przecież o tej książce się mówi, i to z wdzięcznością -że jest wyrazem świadomości ekologicznej. Ale jest chyba inaczej. Bardziej i głębiej. Prawdziwiej. Przymiotnik, który najtrafniej wyraża istotę odpowiedzialności Małgorzaty Lebdy za świat, to: „franciszkański”. Nie w tym znaczeniu, w jakim zastępuje się często istotę mądrości Franciszka z Asyżu naiwną kalkomanią poczciwości. W znaczeniu najpełniejszym: bractwa i siostrzeństwa. Jedności ze światem. W wierszu *las: wejście w chłód*, córka wyciąga „ojcu kleszcza / spod piersi następne w kolejce są psy”. Ojciec, sarna spotkana po drodze, psy, które ją dopadły i które czekają teraz na kurację, partyzanci utopieni w bagnach, kanie z odkrytego gniazda… Wszystko jest równe w świecie, w którym wzrastała poetka. Wszystko jest sobie nawzajem świadkiem i wyzwaniem. A w poezji – wyznaniem pokrewieństwa.

Małgorzata Lebda napisała książkę wybitną nie tylko w kategorii pisarzy młodych. *Matecznik* chciałoby napisać wielu poetów uznanych i bardzo dojrzałych, o głośnym nazwisku. Lecz może byłoby to niemożliwe. Jest w tej książce, tak zrównoważonej w słowach, sprawiedliwej w obrazach, tak odmierzonej, o tak pięknej dykcji, tonacja, którą podyktować może tylko młode, przedwcześnie dojrzałe sieroctwo dziewczyny, która dopiero się dowiaduje, ale już pamięta. Odbiera drugą lekcję poznawania - już nie przez intuicję, lecz przez świeżą pamięć o tym, co utracone, by trwało w godnej postaci przenikliwego słowa.